Paraliż

Steve Liebich

Published by Wydawnictwo Internetowe, 2020.

This is a work of fiction. Similarities to real people, places, or events are entirely coincidental.

PARALIŻ

First edition. May 13, 2020.

Copyright © 2020 Steve Liebich.

ISBN: 978-8395773204

Written by Steve Liebich.

Rozdział VI

Dwie minuty zostały do godziny dwunastej. Rozpoczęła się krzątanina. Teraz nawet takie pojęcia jak harmider czy rwetes nie mogłyby oddać tego, co działo się na komisariacie. William i Sophia stali przy oknie i starali się uspokoić nerwy. Na niewiele się to zdało. Oboje mieli złe przeczucia i to solidnie uzasadnione. Czuli się jak zwierzęta w cyrku czekające na wypuszczenie na arenę.

Zegar pokazał dwunastą. Dwie sekundy później zadzwonił telefon. Tyle że nie ten na komisariacie – ktoś dzwonił na prywatny numer Williama. Ten ze strachem wyciągnął komórkę. Dzwoniono z numeru zastrzeżonego. Mężczyzna pokazał to Willisowi. Agent pokiwał głową na znak, że William może odebrać. Zrobił to.

– Witam – odezwał się Rowan. – Przypuszczam, że domyśla się pan, kto dzwoni.

– Carol Rowan.

– Zgadza się. Przełącz na głośnik.

William posłuchał. Teraz wszyscy w pomieszczeniu siedzieli jak trusia, przysłuchując się każdemu słowu Rowana. Nagle równocześnie zgasł cały sprzęt elektroniczny poza komórką Williama. Agenci spojrzeli po sobie w zdziwieniu.

– Informuję was, że w trosce o moje bezpieczeństwo, wysłałem specjalny sygnał, działający na wasz sprzęt wywiadowczy i komputery. Zaraz po zakończeniu rozmowy uzyskacie ponownie dostęp. Czy panna Harris również jest obecna?

– Tak – odezwała się niepewnie, drżącym głosem.

– Wspaniale. Chcecie poznać moje zamiary. Niestety, nie mogę wyjawić wszystkiego od razu, ale bądźcie cierpliwi. Z czasem wszystko stanie się jasne. Panie doktorze – William wyprostował się – zastanawia się pan, dlaczego to pana wybrałem. Proszę nie czuć do mnie żalu, ale muszę pozostać w pewien sposób tajemniczy. Inaczej mój plan się nie powiedzie.

Przygotowałem dla pana i panny Harris wyjątkową grę. Zajęło mi to sporo czasu, ale nie zawiedziecie się. Waszym celem jest przekazać prawdę. Ten kraj zapomniał znaczenia tego słowa. Pierwotnie to właśnie na prawdzie miał być zbudowany, na wolności, na demokracji. Z biegiem lat okazało się, że to tylko puste słowa, za sprawą których przywódcy starali się zgromadzić jak najwięcej głosujących. Sami w nie nie wierzyli. George Washington, ojciec naszego narodu, człowiek prawy i honorowy... Zapominamy, że po wojnie z Wielką Brytanią, a i także w jej trakcie, wydał wyroki śmierci na wielu swoich podkomendnych, którzy byli przeciwni jego ideom. Obiecał wolność Indianom, ale przyczynił się do ich zagłady. Stworzył podwaliny państwa demokratycznego, ale pod tymi fasadami, jak pod kamieniami Muru Chińskiego, leżą stosy niewinnych ofiar, które zapłaciły za głoszenie prawdy. Kolejni prezydenci: John Adams, Thomas Jefferson, James Madison, wszyscy aroganccy i kłamliwi. Chester Arthur zabronił imigrować do Stanów osobom o niskiej inteligencji czy Chińczykom. Kto śmie stawiać się ponad innymi i bronić im dostępu do wolności?! Stany były niegdyś symbolem władzy, rozkwitu oraz imperialnego dobrobytu. Być może dążyły do tego, ale wybrały niewłaściwą drogę. Rząd krytykuje poczynania innych krajów, samemu stosując równie ohydne, a nawet bardziej brutalne metody śledcze. Po ataku na Nowy Jork władze i obywatele stali się podejrzliwi, strachliwi i przestraszeni. Widząc terrorystę na każdym kroku, w sąsiedzie, znajomym, w członku rodziny, podkreślacie swoją słabość i bezsilność. Tysiące ofiar oddało życie dla wolności, której nigdy nie było. Dlatego ja chcę zmienić was i cały ten kraj. Pokazać, że się mylicie. Wczoraj po

raz pierwszy zatryumfowała prawda. Dopuściliście do śmierci setek osób tylko dlatego, że jesteście słabi i kłamliwi. Cel uświęca środki.

Wybrałem was, panie King i panno Harris, ponieważ jesteście dobrzy w tym, co robicie. Razem możecie mnie powstrzymać. Będzie to oznaczało, iż Stany Zjednoczone potrafią być potęgą. Wspólnie ukażecie najważniejsze cechy waszego narodu: inteligencję, jedność, prawdomówność, sprawiedliwość, tolerancję. Jeżeli wam się nie uda, Ameryka stanie na krawędzi i wierzcie mi: doprowadzę do jej całkowitej destrukcji. Przygotowałem cztery niezwykle intrygujące środki, które z pewnością do was przemówią. Na każdym przystanku, poziomie czy jakkolwiek chcecie to nazwać, zostawiłem dwa elementy potrzebne do rozwikłania zagadki. Puzzle. Od was zależy, ile elementów będziecie potrzebować. I tu dochodzę do meritum naszej rozmowy: na każdym etapie zginą ludzie. Musicie działać szybko i sprawnie. Rozwiązaniem zagadki jest miejsce, w którym rozpocznie się wasza zagłada. To miejsce, piąty etap, zakończy naszą grę. Po zakończeniu każdego etapu podam również podpowiedzi dotyczące miejsca rozegrania kolejnego poziomu. Za każdy błąd zapłacą obywatele. To jest wasza odpowiedzialność – cecha, której Stanom najbardziej brakuje. Jest godzina dwunasta piętnaście. Za czterdzieści pięć minut skończy się pierwszy etap. A oto dwie podpowiedzi: *Trzy razy lud go promował, on w podzięce masę zamordował*. Co do drugiej podpowiedzi... nobliści prawdę wam ukażą. Kolejne etapy będą następowały co cztery godziny. Obowiązek, honor, ojczyzna. Słuchajcie prawdy.

Połączenie zostało przerwane. Komputery i reszta sprzętu ponownie się włączyły. William, Sophie i wszyscy, którzy słuchali Rowana, stali w bezruchu. Człowiek jest w stanie wiele znieść. To jest wpisane w jego naturę. Ewolucja wprowadziła wiele ulepszeń do człowieczej natury, by człowiek mógł pozostać silny! Po wysłuchaniu przemowy Rowana, przez dobrą minutę nikt nie wypowiedział ani jednego słowa.

William żałował wyboru. W co ja się wpakowałem?! Tylko to zdanie brzmiało mu w głowie. Chciał przez chwilę być kimś ważnym? Zostać

bohaterem? Jedna jest prawda o bohaterach: nigdy nie kończą dobrze. Rozumie Sophie, ona to inny świat. Odważna kobieta, która przeszła więcej niż on. Miał wybór? Powiada się, że wybór ma każdy, tyle że nie każdy odpowiedni wybór widzi... Nie. Nie miał wyboru. Wpatrywał się teraz w twarz Rowana na ścianie i przyglądał się jej z uwagą. Nie widział w niej zła, tylko zmieszanie. Tak, zmieszanie. Nie miał pojęcia, skąd to słowo wzięło się w jego głowie, być może pojawiło się odruchowo, przypadek rządzi rzeczywistością. Tyle że człowiek zmieszany jest zdolny do wszystkiego, by wrócić do stanu przed zmieszaniem. Brzmi to jak bełkot, ale wiedział – to prawda.

Ciszę przerwał Milton, który opierał się o krawędź biurka. Bujał się na jednej nodze i nie spuszczał wzroku z telefonu Williama.

– Dobrze zrozumiałem? Każdy etap daje dwie podpowiedzi, dzięki którym możemy go powstrzymać? Co to, cholera, ma znaczyć?!

– Jeżeli nam się uda, możemy zlokalizować miejsce piątego etapu bez rozgrywania pozostałych – dodał William. – Mnie też to dziwi. Dlaczego chce pozwolić się złapać?

– To jest powszechne zjawisko wśród socjopatów – odparła Sophie. – Chcą być złapani, bo w głębi duszy czują się winni tego, co robią, zdają sobie przy tym sprawę, że sami nie przestaną.

– Nie sądzę – odezwał się Willis. – To nie ten typ. On się tylko z nami bawi. Gra, zapominacie? Rowan, cokolwiek zamierza, doprowadzi to do końca.

– Czyli co? – Sophie nie wytrzymała. – Nie mamy robić nic? Usiądźmy sobie i napijmy się gorącej kawuni. Przyniesie ktoś pączki? Ja stawiam.

– Ma rację – teraz do rozmowy włączył się Hower. – Musimy działać.

– Oczywiście, że tak – powiedział Willis. – Chodziło mi o to, byście nie czuli się winni, jeżeli coś się nie powiedzie. Musimy przygotować się na każdą ewentualność. Dzwonię po wojsko. Soper.

– Już dzwonię – rzekł informatyk. – Ma pan połączenie z Sekretariatem Obrony.

Willis chwycił słuchawkę telefonu z bezpieczną linią i zaczął rozmowę. Mówił szybko, tylko osoby stojące przy nim, mogłyby cokolwiek usłyszeć. Używał kryptonimów, haseł i zwrotów wojskowych. William nie wiedział, jaką pozycję rzeczywiście ma agent Willis, ale bezpośredni kontakt z Pentagonem dobrze o nim świadczył. Willis momentami wykrzykiwał polecenia, nie miał żadnych zahamowań. Po minucie ktoś w Sekretariacie przełączył go do Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, najwyższego organu sił zbrojnych. Agent rozmawiał krótko. Potem się rozłączył.

– Za dziesięć minut przyjedzie wojsko razem ze sekretarzem obrony. Prezydent został poinformowany. Jeszcze nie chcą wprowadzać stanu podwyższonej gotowości. Sprawą zajmie się również Agencja Systemów Informatycznych Obrony. Mamy pozwolenie na działanie. King, Harris, jestem od teraz waszym bezpośrednim przełożonym. Moim jest sekretarz obrony.

Ten sen to istne kino akcji. William, kładąc się spać, nie przypuszczał, że będzie świadkiem, ba, ogniwem w łańcuchu terrorystycznych planów szaleńca. Dlaczego on? Miał nadzieję, że niebawem się dowie.

– Musimy pomyśleć – rzekł Willis. – W tym momencie każdy budynek w Waszyngtonie jest potencjalnym celem Rowana. Ktoś ma jakieś pomysły?

– Ostatnie słowa mnie zaskoczyły – zaczęła Sophie. – Powiedział „*obowiązek, honor, ojczyzna*". Jeżeli się nie mylę, to jest motto West Point.

– Tego ośrodka szkoleniowego? – zapytał William.

– Tak – odpowiedziała Sophie. – Wspominał o Georgu Washingtonie. On kazał go zbudować. Miała to być najcenniejsza fortyfikacja w Stanach. Tajna broń pierwszego prezydenta.

Milton patrzył na Sophie z widocznym w oczach sceptycyzmem.

– Nie myśli pani, że Rowan porwałby się na coś takiego.

– Może nie, a może tak. Wiemy już, że jest zdolny do wszystkiego.

– Ale to jest po prostu niemożliwe.

– A co z tymi podpowiedziami? – odezwał się William. – „*Trzy razy lud go promował, on w podzięce masę zamordował*" – powtórzył słowa Rowana. – O kogo mogło chodzić?

– Może, o co – zaproponował Willis. – A jeśli miał na myśli Kongres Stanów Zjednoczonych? Podczas Pierwszego Kongresu odbyły się trzy posiedzenia. Ostatnie miało miejsce w 1791, cztery lata przed wybuchem wojny o niepodległość.

– Nie pasuje – zaoponowała Sophie. – „*Trzy razy lud go promował*". „Go", chodzi o osobę. Jakąś szczególną osobę związaną z pewnym miejscem.

W tej chwili Williama olśniło. Jego zainteresowania historią i przeszłość nie poszły na marne. Mimowolnie się uśmiechnął.

– Chodzi o Thomasa Jeffersona.

Wszyscy spojrzeli w zaskoczeniu na doktora mikrobiologii. William szybko zaczął bronić swojego wyboru:

– Jego prezydentura trwała przez trzy kadencje. I to on w 1802 roku podpisał legislację pozwalającą na założenie akademii wojskowej. Był też bliskim przyjacielem Washingtona.

Obecni na komisariacie zaczęli się zastanawiać. Coś ciągle w tej układance nie pasowało. Tezę Williama zanegował Milton.

– Jefferson nie zamordował żadnej masy. Prowadził rządy pokojowe, zakazał sprowadzania niewolników z Afryki, starał się nie mieszać interesów Stanów w żadne wojny.

– A co z drugą podpowiedzią? – zapytała Sophie.

– Nobliści – dodał Soper, który przez całą rozmowę przeszukiwał różne bazy danych w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Kto został wybrany trzy razy, zabił wielu ludzi i jeszcze miał coś wspólnego z noblistami? – rzucił Willis.

Każdy odruchowo spoglądał na wiszący zegar. Wskazówka minutowa przesunęła się na godzinę szóstą. Zostało pół godziny, a oni tkwili w jednym miejscu. *Tempus fugit*.

– Jezu kochany, to jest paranoja! – Hower jako pierwszy wyraził swoją bezsilność. Odważył się powiedzieć to, co inni jedynie myśleli. – Bawimy się w łamigłówki zamiast działać. Tym razem stawką nie będzie zapałka czy czekoladowe ciasteczko, lecz ludzkie życie.

– Zapowiada się bombowa impreza – powiedział zrezygnowany Milton.

Bombowa impreza – pomyślał William. W jego głowie zapaliła się lampka. Potrzebował trochę czasu, ale teraz wszystko do siebie pasowało. Tym razem się nie mylił. Od początku mieli błędne rozumowanie. Lud promował, nie wybierał.

– Lud promował, nie wybierał – powiedział cicho pod nosem.

– Słucham? – zainteresowała się Sophie.

– Lud promował, nie wybierał – powtórzył głośniej. – Rozumiecie? Nie chodzi o wybory prezydenckie ani o jakiekolwiek wybory. Tytuł człowieka roku. Franklin Delano Roosevelt. Nikt jeszcze poza nim nie otrzymał tego tytułu trzykrotnie. Roosevelt zapoczątkował projekt Manhattan, czyli plany zbudowania bomby atomowej. Rutherford, Hahn otrzymali nagrody nobla w dziedzinie chemii i fizyki. To protoplaści działań nuklearnych. Rowan miał na myśli Roosevelta.

– Dobrze, ale o jaki budynek teraz może chodzić? – zapytał Milton.

– To może być praktycznie wszystko: pomnik, galeria sztuki, West Point, Pentagon.

Sophie zaczęła nad czymś się zastanawiać.

– Ludzie pokroju Rowana to symboliści. On chce udowodnić, że Ameryka jest słaba. Uderzy w punkt, który symbolizuje jej słabość. Nie nadaremno wspominał o noblistach. To nie miało być tylko naprowadzenie na Roosevelta, ale wskazał również na jego działania.

– Atak na Hiroszimę i Nagasaki – dodał William.

– Zgadza się. To ma związek z atakiem na Japonię. Symbol ataku. Symbol Stanów i Japonii.

Hower podniósł głowę. Chyba wszyscy myśleli o tym samym.

– Ambasada Japonii.

– Na Massachusetts Avenue – dodał Willis.

Kamery monitoringu z ulicy przed komisariatem pokazywały dwa samochody wojskowe i jeden służbowy, mercedesa. Wysiadł z niego korpulentny niewysoki mężczyzna z dziobami na prawym policzku. Miał założony strój reprezentacyjny z odznaczeniami wypolerowanymi na wysoki połysk. Za nim stało dwóch oficerów, a z wozów wojskowych wysiedli żołnierze, dowodzeni przez wysokiego jegomościa, o półtora głowy wyższego od wypolerowanego eleganta. Po chwili zniknęli z obrazu kamer umieszczonych na ulicy, a znowu pojawili się na obrazie ze środka budynku. Dumnym krokiem wmaszerowali na górne piętro, które obecnie stało się bazą militarną, biurem dowodzenia i gabinetem owalnym w jednym.

– Dzień dobry państwu. Nazywam się Chuck Hughes, sekretarz obrony. Mam bezpośrednie rozkazy od prezydenta – wypolerowany elegant podszedł do Willisa, następnie do Miltona i Howera. Jego uwadze nie uszli William i Sophie. – To zapewne panna Harris i pan King, nie mylę się?

Podali sobie ręce i Hughes przeszedł od razu do konkretów.

– Agent Willis po krótce przedstawił mi sytuację. Muszę wiedzieć wszystko, ale to za chwilę. Udało się zlokalizować pierwszy cel? – jego rzeczowy ton i aura władzy zadziałały mobilizująco na zgromadzonych.

– Domyślamy się, że... – zaczęła Sophie, ale Hughes przerwał jej.

– Tutaj nie ma czasu na domysły. Jest dwunasta czterdzieści. Kiedy ma nastąpić pierwszy atak?

– O trzynastej – powiedział Willis. – Co cztery godziny kolejne.

– Tak więc jaka to lokalizacja?

– Jesteśmy prawie pewni, że japońska ambasada na Massachusetts Avenue – powiedział William.

Hughes podszedł do jednego ze swoich oficerów. Wymienił z nim kilka słów, tamten zasalutował, obrócił się i żołnierskim krokiem wyszedł z pokoju. Niemal pięćdziesiąt osób wpatrywało się w Hughesa i oczekiwało, co powie.

– Panie King, panno Harris, jedziecie ze mną. Agent Willis i trzech ludzi, których wybierze, pojadą drugim samochodem. Żołnierze przeszukają teren, a my jedziemy do ambasady. Nie możemy rzucać się w oczy.

– Z całym szacunkiem – wtrącił Milton. – Rowan zapewne śledzi każdy nasz krok. Będzie wiedział, że tam jesteśmy.

– Nie obchodzi mnie pańskie zdanie. Proszę zająć się swoimi obowiązkami, ja zajmę się swoimi. Ambasada została już poinformowana. Ewakuacja zacznie się za minutę. Cokolwiek ten człowiek planuje, udaremnimy jego działania. Nie pozwolę, żeby terrorysta zaczął mordować obywateli Stanów Zjednoczonych. Prędzej zginę, niż na to pozwolę. Ruszamy!

Rozdział VII

Massachusetts Avenue obok Pennsylvania Avenue to najważniejsza ulica w Waszyngtonie, na której znajduje się większość ambasad i siedzib dyplomatycznych. Swoją nazwę zawdzięcza udziałowi w wojnie o niepodległość. 19 kwietnia 1775 brytyjscy żołnierze mieli przejąć milicyjne zapasy w Concord. Tak rozpoczęły się bitwy pod Concord i Lexington – symbol glorii powstającego demokratycznego państwa.

2520 Massachusetts Avenue stanowiło adres ambasady Japonii. Był to mały budynek z niedużym trawnikiem, ogrodzony żelaznym płotem z bramą wjazdową. Niczym się nie wyróżniał. Praca przebiegała tu zawsze spokojnie, z podziałem obowiązków i ustalonymi godzinami. Najlepiej urządzonym gabinetem był ten należący do Isoroku Tiankaii, ambasadora. Siedział on teraz na skórzanym fotelu i patrzył na zdjęcie czwórki swoich dzieci oraz żony, którą poznał w wieku piętnastu lat. Zakochali się w sobie bez pamięci. Uronił kilka łez na myśl, że już nigdy ich nie spotka. Honor nie pozwalał pokazać się pracownikom w takim stanie, sięgnął więc po chusteczkę i otarł nią oczy. Poprawił wiązanie krawata, odszedł od biurka i wyszedł z gabinetu.

Sekretarka schowana była za monitorem komputera i wpisywała dane przedsiębiorstwa, z którym ambasada nawiązała kontakt. Gdy Tiankaia zamknął za sobą drzwi, sekretarka przerwała pracę i spojrzała na szefa. Ten zastanawiał się, jak przekazać wiadomość. Dwie minuty temu skończył rozmowę z oficerem armii Stanów Zjednoczonych, który nakazał ewakuację budynku z powodu rychłego zagrożenia bombowego. Cóż za ironia – pomyślał wtedy Tiankaia, słuchając oficera. – Najpierw Hiroszima i Nagasaki, teraz to. Potwierdził ewakuację i odłożył

słuchawkę telefonu. Nie powiedział rozmówcy, że przed jego telefonem rozmawiał z niejakim Rowanem. Rowan poinformował ambasadora o podłożonych ładunkach, reagujących na obciążenie, rozstawionych wokół wszystkich wyjść i wejść ambasady. Tajemniczy mężczyzna zapewnił, że o pierwszej dezaktywuje ładunki. Amerykański oficer rozwiał wszelkie wątpliwości. Ambasada padła atakiem terrorysty, który od samego początku planował jej zniszczenie. Aktualnie na swoich stanowiskach znajdowały się sześćdziesiąt dwie osoby. Sześćdziesiąt dwie osoby miały zginąć tego dnia na obcej ziemi, za nieswoją sprawę.

– Jestem panu potrzebna, ambasadorze? – zapytała sekretarka, pani w średnim wieku, pracowita i powściągliwa pracownica.

– Nie, dziękuję – Tiankaia odszedł na parę kroków i zatrzymał się. – Właściwie tak. Chciałbym przemówić do wszystkich pracowników. Proszę zwołać ich do mojego gabinetu. Prędko.

Wrócił na swoje stanowisko. Wyłączył komputer i zgasił światło. Było wystarczająco jasno, dzień był naprawdę słoneczny i pogodny. Usiadł w fotelu i czekał, aż wszyscy się zgromadzą. Zajęło to pięć minut. Drzwi do gabinetu otworzyły się, mężczyźni i kobiety w różnym wieku zaczęli ustawiać się przy ścianie, siadać na kanapach i fotelach. Rozmawiali ze sobą. Tylko raz ambasador wezwał wszystkich, pięć lat temu, żeby omówić sprawę przyjęcia honorowych gości z Kapitolu. Zastanawiali się, czego się dowiedzą, jakie wieści ich szef ma im do przekazania.

Tiankaia wstał i uśmiechnął się. Spojrzał na mosiężny zegarek stojący na biurku. Wskazywał godzinę dwunastą pięćdziesiąt.

– Dziękuję wam, że przyszliście. Będę mówił krótko a treściwie. Kraj wdzięczny jest wam za waszą ofiarność i poświęcenie. Ja jestem wdzięczny. Przekazano mi informację, że o trzynastej po południu ma dzisiaj na terenie ambasady nastąpić wybuch. – Przerwał, widząc poruszenie i niedowierzanie ludzi. Musiał powstrzymywać się z całych sił, żeby nie zapłakać. – Jesteśmy ludźmi honoru. Nie wolno nam okazać strachu. Proszę was, żebyście zostali ze mną. I czekali.

Skończył.

Nikt nie okazał słabości. Żaden mężczyzna, żadna kobieta nie zapłakali. Uśmiechnęli się do ambasadora, podali sobie ręce i wymienili kilka ciepłych słów. To był najcichszy dzień w japońskiej ambasadzie.

DWUNASTA PIĘĆDZIESIĄT cztery.

Helikoptery latały nad ambasadą, wywołując ciekawość wśród przechodniów. Wojskowe ciężarówki otoczyły budynek. Samochody Hughesa i Willisa zatrzymały się ulicę dalej. William, Sophie i pozostali biegli w kierunku ambasady. Gdy dotarli na miejsce, znaleźli tylko wojskowych. Nigdzie nie zauważyli jakiegokolwiek Japończyka.

– Co się dzieje?! – krzyknął Hughes do majora, który mówił coś przez krótkofalówkę. Major wyprostował się, zasalutował i przekazał wiadomość.

– Nie mogą opuścić ambasady.

– Co to znaczy *nie mogą*?! – Hughes wybuchnął. – Każcie im się wynosić! To rozkaz!

– Nie. Pan Tiankaia przed chwilą zadzwonił do szefostwa FBI. Powiedział, że skontaktował się z nimi Rowan. Wszędzie są miny. Wystarczy, że staną na jednej z nich i wylecą w powietrze.

– Komandosi, marines, musimy coś zrobić.

– Nie ma takiej możliwości. Nic nie możemy zrobić.

Sophie wyskoczyła do przodu. W jej oczach palił się bojowy ogień.

– Czyli co?! Mamy stać i patrzeć, jak ci ludzie giną? Na naszych oczach?

Nikt jej nie odpowiedział. William podbiegł do bramy, ale jeden z wojskowych zagrodził mu drogę. Przez jedno z okien widział małą grupę ludzi. Może mu się wydawało, ale chyba patrzyli na niego. Jeszcze nigdy nie czuł czegoś takiego. Bezradność. Wszechogarniająca bezradność. Rowan postawił na swoim. On nie pozwoli im uratować nikogo. Rozpoczęła się rzeź. William był jej świadkiem. Ogniwem. Nie może zapomnieć, że się zgodził. Czuł brzemię odpowiedzialności. Jeżeli nie

bezpośredniej, to częściowej na pewno. Wiedział, że to niedorzeczne. Odwrócił wzrok. Nie mógł spoglądać w tamtą stronę. Nagle ciężarówki zaczęły odjeżdżać. Ulica opustoszała. Cywile zostali zabrani, Sophie biegła do niego. Coś mówiła, szarpała za ramiona. Kazała mu biec, więc biegł. Kilkoro ludzi otoczyło Hughesa i innych VIP-ów. Ostatni ludzie uciekali z pobliskich mieszkań, wojsko wycofywało się. Świat dokoła Wiliama kręcił się. Mężczyzna miał mdłości. Biegł przed siebie, skręcił w drugą ulicę i zatrzymał się. Helikoptery odleciały na bezpieczną odległość.

Dwunasta pięćdziesiąt dziewięć.

FLAGI JAPONII I STANÓW Zjednoczonych łopotały na wietrze. Massachusetts Avenue ucichła. Wszystko ucichło. Ambasador po raz ostatni uśmiechnął się do swoich krajanów. Chwycił zdjęcie rodziny, pocałował i przyłożył do piersi. Skierował wzrok na punkt w dali. Zobaczył wysokiego mężczyznę w kasztanowych włosach. Zobaczył w jego oczach troskę. Cieszyło to go. Jedno serce więcej bije dla tej sprawy. Nie wiedział, kim jest ów człowiek. Patrzył na niego, nic o nim nie wiedząc. Najdziwniejsze doznanie w jego życiu. Ścisnął mocniej zdjęcie.

Wybiła trzynasta.

BYŁ TO WYBUCH O NIESPOTYKANEJ sile. Nie poczuli bólu. Ogień strawił ich ciała w jednej milisekundzie. Rozsadził budynek od środka. Wielka kula ognia połknęła ambasadę w całości. Miliardy rozprysków pognało we wszystkie strony z niewiarygodną szybkością. Popękały szyby, kawałki ziemi i drzew uderzyły o zaparkowane samochody i upadły na ulicę. Czerwono-pomarańczowe płomienie tryumfowały w centrum Waszyngtonu. Siła eksplozji dotarła do sąsiednich ulic, wyrzucając wszystko w powietrze. William najpierw poczuł gorąco, a w następnej sekundzie odrzuciło go do tyłu. Uderzył w karoserię wo-

jskowego jeepa. Stracił przytomność. Sophie schowała się za inną ciężarówką. Na szczęście utrzymała się na ziemi, inaczej przygniótłby ją kilkusetkilogramowy ciężar. Hughes zawył z bólu jak niemal wszyscy – każdy słyszał tylko pisk w głowie. Kilku żołnierzom z uszu popłynęła krew. Budynek ambasady można było porównać do otwartego basenu pełnego ognia. Paliło się wszystko. Z mebli nie zostały nawet skrawki. Metry kwadratowe trawy i asfaltu leżały kilkadziesiąt metrów od miejsca wybuchu. Wiadomo było, że mieszkańcy pobliskich zabudowań nieprędko wrócą do domów. Większość z nich wyglądała jak po zrzucie bomb zapalających. Dachy zapadły się i zasypały mieszkania na najwyższych piętrach. Wszystko było spalone i osmolone. Dokonało się. Zginęli wszyscy, którzy mieli zginąć.

Trzynasta cztery.